

Wojciech Sadowski

Uporządkowane życie alumna Niższego Seminarium Duchownego w Gorzowie Wlkp. : wspomnienia wychowanka

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 15, 337-342

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wojciech Sadowski
Jenin

Uporządkowane życie alumna Niższego Seminarium Duchownego w Gorzowie Wlkp. (Wspomnienia wychowanka)

Niniejszy tekst powstał w oparciu o wspomnienie z mego pobytu w latach 1953–1957 w gorzowskim Małym Seminarium Duchownym. Mieściło się ono przy ul. Łokietka 16. Rektorem (dyrektorem) w tym czasie był ks. mgr Jan Wujda, ojcem duchownym ks. mgr Wiktor Panecki, prefektem ks. mgr Mieczysław Marszałik. Wszyscy trzej byli wychowankami lwowskiego Seminarium Duchownego i absolwentami Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Nauczaniem kierował Bolesław Kudelka, również absolwent UJK. Funkcję prokuratora (od łacińskiego procurator = zawiadowca, rządca) pełnił ks. Tadeusz Brodzik, absolwent Wyższego Seminarium Duchownego w Gorzowie Wlkp.

Podopieczni placówki rekrutowali się z terenu ówczesnej diecezji, której granice opasywały dzisiejsze województwo gorzowsko-zielonogórskie, szczecińskie, koszalińskie, a nawet skrawki poznańskiego. W większości wywodzili się z parafii wiejskich, choć byli też z Gorzowa Wlkp, Międzyrzecza, Szczecina, Miastka, Trzciela oraz pozostałych miasteczek. Tylko jednostki pochodziły z innych regionów.

Podstawę naboru stanowiły rodziny wiejskie, przybyłe z Kresów wschodnich lub południowych, zaliczane w dwudziestoleciu międzywojennym do bogatych chłopów, względnie drobnej, zubożałej szlachty albo małomiasteczkowych mieszczan. Alumni rekrutujący się z rodzin inteligenckich byli rzadkością. Dla wielu kolegów pobyt w seminarium był rodzajem nobilitacji społecznej w środowisku pochodzenia. Pretendowanie do stanu duchownego przynosiło zaszczyt dla rodziny, krewnych i społeczności parafialnej. Równocześnie było powodem wielu przykrości sprawianych rodzicom przez władze lokalne i kierownictwo zakładów pracy, w których byli zatrudnieni. Rolnicy z tego powodu mieli nierzadko podwyższone podatki lub zwiększone obowiązkowe świadczenia płodów rolnych; ziemniaków, zboża, mięsa. Lokalni „aparaczczy” proponowali w zamian za opuszczenie seminarium przez syna wyższe pobory oraz kształcenie dziecka w dowolnej placówce oświatowej z pominięciem egzaminu wstępnego i bezpłatny internat.

Jednak powodem decydującym o opuszczeniu szkoły kościelnej był niewątpliwie obowiązujący w niej rygorizm, wysokie wymagania moralne i intelektualne (nauczano m. in. 6 języków obcych). Bardzo ważna przy tym była pozytywna opinia proboszcza wydawana na piśmie po każdym wakacjach, a nawet feriiach świątecznych. O pobycie w Seminarium decydowała również pozytywna opinia proboszcza o rodzinie pretendenta. Jego protekcja była bardzo istotna przy przyjęciu do uczelni. Ona decydowała też o ewentualnym dalszym kształceniu w Wyższym Seminarium.

Kandydat do seminarium powinien być godnym przyjęcia, to jest mieć dobre świadectwo szkolne, zdać egzamin wstępny, wyróżniać się w środowisku pochodzenia religijnością i wywodzić się z nabożnej rodziny. Znacząca była, oprócz opinii, protekcja proboszcza lub katechety. Wysoko oceniano przynależność do zespołu ministrantów.

Odrzucano kandydatów z rodzin rozbitych oraz nadużywających alkoholu lub z niemoralnie prowadzącym się rodzeństwem.

Dominująca w okresie powojennym w domach przybyszów z Kresów religijność i atmosfera radości z zakończonej wojny pomagała i sprzyjała chłopcom do podjęcia nauki w szkole wyznaniowej. Był to też rodzaj protestu przeciw komunizacji i laicyzacji państwowych szkół i życia społecznego. Wielu kolegów w tajemnicy przed seminaryjnymi wychowawcami deklarowało chęć zaniechania dalszej drogi wiodącej do kapłaństwa tuż po maturze „kościelnej” i zdobyciu państwowego świadectwa dojrzałości. Dotychczasowy pobyt w Niższym Seminarium tłumaczyli oni pragnieniem zbadania przydatności do kapłaństwa, głupotą chłopięcą, ucieczką przed komuną, przed laicyzacją życia. Ciekawe jest to, iż żaden z nich (nawet ci co zostali księżmi) nie objaśniał swego kroku przesłankami pozareligijnymi, np. chęcią zdobycia społecznego poklasku lub wygodnego i dostatniego życia albo zamiarem zgubienia niskiego statusu społecznego i podniesienia znaczenia rodziny pochodzenia. Posiadanie w rodzinie alumna lub kleroika sprzyjało utracie niskiego statusu społecznego, uzyskaniu wyższego prestiżu w lokalnym środowisku. Nawet chłopcy o oczywistej proveniencji kmiecej podawali, że pochodzą z rodzin szlacheckich bądź inteligenckich.

Kandydat powinien być być godnym miana alumna, to jest posiadać zadatki przymiotów, jakie wierni wymagają od księdza, dlatego ojciec duchowny miał prawo i obowiązek badać stan jego ducha i umysłu. W przypadku negatywnych lub miernych efektów doradzał odstąpienie od zamiaru zostania księdzem jako osobie niegodnej kapłaństwa. Status alumna można było utracić wówczas, gdy wychowanek nie wywiązywał się ze swoich powinności, np. zaniedbywał obowiązki religijne podczas ferii lub wakacji, zdradzał nadmierne zainteresowanie dziewczętami, nie interesował się życiem Kościoła globalnego i lokalnego, miał pogardliwy stosunek do społeczności parafialnej lub seminaryjnej itp. Podczas ferii lub wakacji każdy krok był pilnie obserwowany przez parafian, szczególnie przez dewotki, a następnie odnotowywany przez proboszcza w pisemnej opinii przesyłanej w zalakowanej kopercie wychowawcom uczelni. Bywało i tak, że proboszczowie wydawali świadectwo moralności w oparciu o zawistną opinię lokalnych bigotek, krzywdząc wielu wspaniałych i towarzyskich kolegów. Wystarczyło parafialnym świętoszkom, iż zachowanie alumna nie mieściło się w ich prymitywnym schemacie, aby widzieć zło, a nawet rozpustę. Jeden z moich kursowych kolegów powiedział: „świat ludzi to ogrom marnotrawców zamkniętych w obrzędach, wyrokach bez sądu, bezmyślnych zwyczajach, ślepych tradycjach, konwenansach”. Wskutek tego pewien mój kompan musiał opuścić szkołę pod zarzutem zbyt dużego zainteresowania dziewczętami. Do dziś pozostaje on starym kawalerem i działaczem organizacji kościelnej. Brak odpowiednio ustalonych kryteriów przy wydawaniu opinii uniemożliwiał obiektywizm. To, co przez jednego proboszcza uważane było za pozytywne, inny traktował jako negatywne. Powakacyjny osąd alumna zależał też od tego, czy proboszcz interesował się nim faktycznie i chciał mu dopomóc na drodze do kapłaństwa, czy też traktował swego przyszłego konfratry obojętnie, a wręcz bez zainteresowania czy nawet chłodno. Kandydat obserwowany przez wakacje powinien być być godnym otrzymania pozytywnej opinii, to jest posiadać te przymioty, jakich wymagano od przyszłego duchownego. Zdaniem seminaryjnych kolegów osąd proboszcza często zależał od kaprysu tegoż lub od zachowania siostry czy szwagra. Jeżeli szwagier pił wódkę i nie chodził do kościoła to i alumna, choćby był wzorem pobożności, znajdował się w jego pogardzie. Dobrą opinię wśród lokalnych dewotek lub proboszcza można było utracić nawet wówczas, gdy dotarła do nich wiado-

mość, że alumn wziął udział w tak zwanej „prywatce”, czyli bezalkoholowym spotkaniu koleżeńskim w prywatnym mieszkaniu. Odmówienie uczestnictwa było uważane przez rówieśników za przejaw megalomanii i pychy. Traciło się z nimi kontakt, bardzo często na trwałe. Natomiast prefekt seminarium powiadomiony o fakcie udziału w koleżeńskim wieczorku wyciągał surowe konsekwencje dyscyplinarne z relegowaniem ze szkoły włącznie. Sprawiedliwość ks. prefekta była dość specyficzna i nie odróżniała przypadkowego błędu od czynu zamierzonego.

Karność w Niższym Seminarium Duchownym oparta była na bezwzględnym posłuszeństwie wobec władz uczelni oraz wobec własnych postanowień i zamierzeń doskonalących charakter i pobożność. Wpływała zarówno z regulaminu, praktykowanej pobożności, inteligencji wychowanków jak i z posiadanych wartości moralnych. Stopień realizacji powziętych zamiarów należało sprawozdawać ojcu duchownemu podczas miesięcznej wizyty. Wprowadzenie go w błąd traktowane było jako grzech ciężki i wymagało wyspowiadania się u kapłana zasiadającego w konfesjonale, a był nim najczęściej właśnie ojciec duchowny. Obowiązujący posłuch nie wykluczał energii chłopięcej i nie łamał charakteru. Był pomocny w kształtowaniu osobowości, nad którą czuwał ojciec duchowny. Stałe wyrabianie w uczniach posłuszeństwa miało prowadzić do należytego wywiązywania się z obowiązków jak i bezwzględnego posłuszeństwa wobec przełożonych. Rygor stosowany w szkole, zdaniem autora, który odbył również szkolenie wojskowe, był surowszy od koszarowego, ponieważ wymagał wewnętrznej karności, pracowitości, jednoznacznego postępowania wychowanków oraz wykładowców. Złamanie obowiązujących zasad podlegało nieuniknionej karze łącznie z wydaleniem ze szkoły. Bywało i tak, że prefekt lub dyrektor nieposiadający należytego rozeznania podejmował złą, bo niesprawiedliwą, decyzję dyscyplinarną i karał niewinnego delikwenta. W kilku znanych mi przypadkach niesłusznie osądzony wychowanek nie powracał do szkoły z ferii lub wakacji. Być może ten właśnie aspekt wpłynął na wyraźnie negatywną ocenę wyjawianą dziś przez byłych wychowanków. Dawni uczniowie, tak księża jak i laicy, zarzucają swoim wychowawcom seminaryjnym hołdowanie zapóźnieniu pedagogicznemu i cywilizacyjnemu. Przykładowo nie wolno było czytać gazet oraz książek nieposiadających imprimatur władz kościelnych lub seminaryjnych, jak też słuchać radia. Wprawdzie na terenie szkoły wisiały głośniki, ale w ciągu mego czteroletniego pobytu użyte były tylko jeden raz z racji objęcia władzy przez Gomułkę. Efekt zakazów był taki, iż alumni sporadycznie samotnie wychodzący do miasta (rodzaj koniecznej przepustki) przemycali do budynku gazety codzienne lub zakazane książki, zyskując poklask kolegów. Obowiązujący wówczas rygor w Kościele katolickim zobowiązywał nawet księży do ubiegania o dyspensę Stolicy Apostolskiej na czytanie książek i pism objętych zakazem władz duchownych. Efekt jest taki, iż moi dawni koledzy seminaryjni (obecnie księża) po dziś dzień nie posiadają książek innych niż religijne. W Niższym Seminarium zgodę taką prawdopodobnie posiadał ojciec duchowny ks. mgr Wiktor Panecki.

W grudniu 1952 roku ks. mgr Mieczysław Marszałik, prefekt Wydziału Wstępnego Diecezjalnego Seminarium Duchownego (była to w tym czasie oficjalna nazwa NSD) w Gorzowie, opracował zasady udzielania kar i nagród. Traktował je jako pomoc wychowawczą. W „instrukcji” tej opisał dokładnie warunki stosowania kar pedagogicznych, moralnych, cielesnych i materialnych. Autor niniejszego opracowania zetknął się osobiście z karą materialną, którą jeszcze dziś uważa za krzywdzącą. Ja podczas wychodzenia ze stołówki na schodach zostałem popchnięty w plecy przez kolegę idącego z tyłu. Upadając, rozdarłem koledze poprzedzającemu koszulę, który odwrócił się i uderzył mnie

w twarz, a następnie poskarżył się prefektowi. Zdarzenie zostało potraktowane jako mój wybryk chuligański. Przed oblicze ks. prefekta został wezwany ojciec, który w mojej obecności został poinformowany o niecnym zachowaniu syna. Ja nie otrzymałem prawa wyjaśnienia zajścia. Rodzic dostał nakaz naprawy koszuli oraz odkupienia nowej. W ten sposób byłem ukarany potrójnie: wezwanie ojca i w jego obecności udzielona nagana, nakaz reperacji starej koszuli i zakup nowej¹. W taki to sposób ksiądz prefekt realizował ideę św. Tomasza, iż „kara jest pewnym dobrodziejstwem, ponieważ umożliwia ona popełniającemu przestępstwo odbycie pokuty, a więc powrót do równowagi wewnętrznej”². W ten sposób realizował zasadę, iż „nie można stosować kar większych, jeżeli przekonani jesteśmy, że mniejsza wystarczy”³.

Kary cielesne według ks. prefekta nie należały do idealnych, lecz były dopuszczalne. Przy wymierzaniu kary zalecał brać pod uwagę psychikę delikwenta, środowisko z którego wyszedł, zrozumienie przewinienia i przyjęcie jej przez ukaranego jako sprawiedliwą. Dodawał jednak, iż „kara cielesna jest świadectwem niższości tego, co ją wymierzył i poniża tego co otrzymał”⁴. Kary materialne były rzadko stosowane i to raczej w przypadku spowodowania szkody w mieniu ogólnym lub indywidualnym. Umiarkowanie wymierzone „kary moralne” stosowane były w myśl zasady: „kara na jednego – strach na wszystkich”. Zarówno prefekt jak i ojciec duchowny dość często objaśniali: „zasłużona kara nie krzywda, nawet Ojciec Niebieski, będąc sprawiedliwym, potępia źle czyniących”. Częściej były wymierzone kary moralne i to zarówno indywidualnie jak i grupowo. Długie tyrady ks. prefekta albo ojca duchownego na okazjonalnych lekcjach wychowawczych lub przed modlitwą wieczorną były faktycznie dolegliwe, albowiem dotyczyły, choć anonimowo, osób które naruszyły ustalone normy postępowania. Ulubioną karą ks. rektora było odpytywanie ucznia z historii muzyki, przydługie zajęcia sportowe względnie ćwiczenia muzyczne. Był to swoisty mecz pomiędzy ks.rektorem a wychowankiem. W miarę jego trwania oraz celnych odpowiedzi dawanych przez chłopca marsowa twarz nauczyciela łagodniała, a w końcu pojawiał się uśmiech. Alumn rzetelnie odbywający karę indywidualną mógł uzyskać nagrodę w postaci pochwały udzielonej podczas spożywania obiadu lub na lekcji muzyki. Ksiądz rektor uważał, że „pochwała odkrywa przed wychowankiem świadomość zdolności i zalet w nim istniejących”⁵.

Gdy opisuje się skrupulatnie zasady życia seminaryjnego z perspektywy pięćdziesięciu lat, staje się pewnikiem, że ich powstanie i funkcjonowanie było głęboko przemyślane. Wynikały one bowiem z troski o dobre wychowanie podopiecznych, a nade wszystko z chęci wyeliminowania wychowanków niepożądanych. Obowiązujące normy rugowały uczniów przypadkowych, o słabych charakterach, małej inteligencji i słabej woli. Na charakterze szkoły wyciskał piętno elitarysta, jakim był jej prefekt ks. mgr Mieczysław Marszałik. Propagowana przez niego ujemna waloryzacja szkół państwowych znajdowała wyraz w wygłaszanych pod ich adresem takich stereotypów, jak „hodowcy bezbożników”, „twórcy dzikiej społeczności”.

1 Wzmiankowany kolega został księdzem i według docierających do mnie wieści nadal ma „lekką rękę”.

2 Ks. M. Marszałik, Zasady udzielania kar i nagród w NSD, Archiwum Diecezjalne w Zielonej Górze, sygn.6.

3 Tamże.

4 Tamże.

5 Wiadomość uzyskana podczas przyjacielskiej rozmowy ok. roku 1962 z dyrektorem naukowym Seminarium prof. Bolesławem Kudelką. Autor wspomnień jako student był częstym gościem państwa Kudelków.

U podłoża wychowawczych starań znajdowały się stałe nabożeństwa, modlitwy, starannie ocenzone księgozbiór seminaryjny, głośne czytanie podczas posiłków przez dyżurnego lektora wybranych i dobranych książek, dni skupienia ujarzmiające rozbrykanie, rekolekcje skłaniające do zadumy nad wiarą i życiem, częste spowiedzi eliminujące najsłabsze ludzkie wady, uzyskiwanie porad etycznych i moralnych podczas regularnych wizyt u ojca duchownego, wspólne gry, zabawy i długie męczące spaceru zużywające młodzieńczą energię. Znane było hasło „przebywaniem wspólnym dźwigam bliźniego”.

W periodicznie odbywanych popołudniowych lekcjach wychowawczych zarówno ks. prefekt jak i ojciec duchowny, nauczali seminarzystów dobrych manier. Praktyczne ich stosowanie było obligatoryjne w życiu codziennym seminarzystów. Niezastosowanie się do oczekiwań skutkowało dyskretnym lub publicznym upomnieniem, w zależności od rodzaju przewinienia. Zadania wychowawcze były oparte o wskazania głoszone podczas konferencji ascetycznych odbywających się z okazji rozpoczęcia roku szkolnego, Bożego Narodzenia lub Wielkanocy. Zasady skromnego życia i wstrzemięźliwych obyczajów były propagowane przez gazetkę ścienną, afisze rekolekcyjne, akademie ku czci św. Kazimierza albo św. Stanisława Kostki. Szczególne zainteresowanie wychowawców i uczniów budziły uroczyste akademie lub koncerty reżyserowane przez ks. Jana Wujdę lub dra Zbigniewa Cierkońskiego. Srebrny jubileusz kapłaństwa pierwszego rządcy diecezji uczczono koncertem seminaryjnej orkiestry grającej Bethowena i cantatą Hausnera oraz odśpiewaniem „Toastu” Noskowskiego. A ks. inf. Zygmunta Szelażka recytacją wierszy patriotycznych i koncertem orkiestry seminaryjnej. Trud pracy fizycznej uzmysławiany był uczniom poprzez obowiązkowe uczestniczenie w wykopkach, odgruzowywaniu miasta, obniżaniu posadzki w Katedrze czy też przy budowie toru przeszkód w parku Słowiańskim.

Kolosalny wpływ na codzienne życie wychowanków NSD miał szczegółowy rozkład zajęć stałych, który był odmienny od porządku dnia skupienia miesięcznego jak też świątecznego bądź niedzielnego. Skupienie miesięczne było rodzajem popołudniowej koncentracji myśli na określonym zagadnieniu religijnym, np. na cierpieniu Chrystusa w Ogrójcu lub Matki Boskiej pod krzyżem. Sugestie do rozważania podawał alumnom zgromadzonym w kaplicy ojciec duchowny bądź ks. prefekt. Dzień rozpoczynał się pobudką o godz. 6 i gimnastyką o 6.20. Dziesięć minut później wychowankowie gromadzili się w kaplicy na wspólnej modlitwie, po której była odprawiana Msza św., a po niej około 7.30 spożywano wspólne śniadanie. Lekcje szkolne rozpoczynały się o 8 i trwały do 13.20. Po obiedzie od 14 do 14.50 trwała rekreacja, po której chłopcy gromadzili się w salach wykładowych i w absolutnej ciszy, pilnowani przez kolegów z maturalnej klasy lub przez spacerujących po korytarzu wychowawców odrabiali lekcje. Po podwieczorku i 15 minutowym czytaniu Pisma św. lub żywotów świętych zabierali się do studium czyli nauki własnej trwającej do kolacji spożywanej o 19. Pauza wieczorna kończyła się o 20. Czas do 21.30 spędzano na nauce, po której odbywały się modlitwy wieczorne. W październiku i maju nauka wieczorna kończyła się o 21 ze względu na nabożeństwo różańcowe lub majowe. Cisza nocna trwała od 22.15 do 6 rano. Bardzo często, szczególnie w okresach przedegzaminacyjnych, o różnych porach nocy sypialnie były patrolowane przez wychowawców baczących, aby wychowankowie pod kołdrą przy świetle latarek nie douczali się. Przez wielu kolegów „studia nocne” były traktowane jak zabawa w „kotka i myszkę”. Czuwający przy wejściu do sypialni konfrater głośnym kaszlem ostrzegał salę o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Zorientowany w tej praktyce prefekt w pantoflach

z filcu skradał się do sypialni i wyłapywał doksztalających się. Ujęcie delikwenta było oznajmiane nieco podniesionym głosem „mam cię”. Wielu z nas „polowanie” prefekta traktowało jako zabawę i temat do rozmowy towarzyskiej w dniu następnym. Rozkład dnia świątecznego z małymi odchyleniami był niemal identyczny. Pobudka niedzielna była o 6.30, a Msza o 7. Więcej też było czasu wolnego, który z reguły przeznaczony był na zbiorowy spacer. W dniu świątecznym cisza nocna obowiązywała od 21.

Mało udolny opis życia seminaryjnego pozwolę skończyć na rozkładzie zajęć dziennych. Uważam, iż pełne odtworzenie bogatego duchowo i faktograficznego bytowania alumna jest bardzo trudne. Osobiście nie umiem opisać przyjacielskiego, ciepłego stosunku wychowawców i nauczycieli do uczniów. Przykładowo na osobne omówienie zasługuje stosunek dyrektora naukowego do wychowanków. Ten autentyczny nauczyciel potrafił podczas wakacji zapraszać do swego domu ucznia i ubogacać jego wiedzę historyczną. Już na uniwersytecie podczas egzaminów z historii zdziwiony moją interpretacją faktów historycznych prof. dr Czesław Łuczak zadawał pytanie „kto pana uczył historii w szkole średniej?”. Natomiast nauczycielka języka francuskiego Jadwiga Komar prosiła abym podczas wakacji przychodził do niej na konwersacje.

Nie zdołam opisać czterech lat szczęśliwego życia w Niższym Seminarium Duchownym, w uczelni która nie tylko uczyła, ale i troskliwie wychowywała, w której Wychowawcy zwracali uwagę na poprawny ukłon oddawany znajomemu na ulicy, na prawidłowe trzymanie podczas posiłku noża i widelca, na konieczność przysycia brakującego guzika. Żałuję, iż nie udało mi się wysłać do tej szkoły mego syna Jarosława, albowiem w roku jego urodzenia (1963) szkoła została „zamordowana” przez komunistów.